

DZIEŃ OSZUSTA



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

DZIEŃ OSZUSTA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-62-0

Copyright © Ireneusz Iredyński

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1973 (cz. 1)

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

M o t t o:

*Chodzą po świecie znaczne ludki
wampirki z ciałkiem w gabardynie
najpierw wachają niezabudki
a potem gracko na nie plują
i zaraz krzyczą o swej winie*

Krystyna Ferens

Leżałem na rzeźbionym, niewygodnym łóżku, zwrócony twarzą do okna i patrzyłem na dobrze znany mi widok: narożnik kamienicy i rozciągnięty na wysokości pierwszego piętra przewód telefoniczny. Zwinięta poduszka ugniatała mi kark, lecz wołałem leżeć w niewygodnej pozycji, niż wstać i rozprostować poduszkę; od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, że w pokoju unosi się zapach popiołu z papierosów, potem wrażenie mijało i znów wpatrywałem się w narożnik kamienicy. Znałem wszystkie wyrwy w tynku; w nocy mogłem je sobie dokładnie wyobrazić. Sięgnąłem po paczkę giewontów, zrobiłem to niezręcznie i papierosy rozsypały się po podłodze. Teraz trzeba wstać, pozbierać papierosy, włożyć je do pudełka i ostatniego zapalić. Wiedziałem, że muszę to zrobić, wyobrażenia podsuwała mi smak tytoniu i dlatego nabrałem jeszcze większej pewności, że wstanę, pozbieram papierosy, a być może otworzę nawet okno; przy okazji poprawię poduszkę. Tak, wstanę i pozbieram papierosy, na pewno wstanę, tylko jeszcze trochę poleżę. Patrzyłem teraz na rozsypane giewonty, przez chwilę wydawało mi się, że układają się jak kreski w chińskich lub japońskich znakach, potem porównanie wydało mi się niezbyt udane, przestałem dostrzegać podobieństwo, widziałem tylko białe pałeczki na zakurzonej podłodze, więc znowu zacząłem obserwować narożnik przeciwległej kamienicy. Przewód telefoniczny poruszył się – widocznie jest wiatr. Odetchnąłem głębiej, poczułem na nowo zapach popiołu tytoniowego. Teraz byłem ostrożniejszy: wciągałem powietrze małymi dawkami.

Ta zwinięta poduszka! Mięśnie karku zdrętwiały. Musiałem się przesunąć. Właściwie to obróciłem się o czterdzieści pięć stopni; ulga była dość znaczna. Naprzeciw siebie miałem ścianę powleczoną warstwą popękanej, kremowej farby. Gdy przechyliłem głowę, mogłem patrzeć na oleodruk z ułanem pojącym konia i na wycięte z jakiegoś tygodnika reprodukcje abstrakcjonistów. Ozdoby te zostawił poprzedni lokator.

Znowu leżysz beczynnie, znowu! Nie wstajesz, mimo że chce ci się palić. Nie wstajesz, chociaż jest ci niewygodnie. Pokój nie posprzątany, wstrętny zapach popiołu nasycił już pościel, a nawet ubrania. Wolisz patrzeć na przeciwległą kamienicę, a właściwie na jej narożnik. Tam nawet nie ma okna. Dziury w tynku są ciągle te same. A mimo to leżysz, usiłując oszukać samego siebie zmianą pozycji, oszukać się przez liczenie kropek pozostawionych przez muchy na czaku ułańskim.

Patrząc na oleodruk zauważyłem, że czako jest nieforemną plamą fioletu. Dzięki temu zdałem sobie sprawę, że jest zmierzch. W szafce miałem pół bochenka chleba, resztki masła i krążek topionego sera. Poczułem czczość. Wyobraziłem sobie, jak będę smarował chleb, jak zaparzę herbatę i czczość ustąpiła. Przymknąłem powieki i zobaczyłem płaszczyznę błyszczącą, jakby była z aluminium, z fosforycznie lśniącymi słupami.

Wiesz dobrze, że słowo „fosforycznie” jest dla ciebie pieszczotą, lubujesz się w nim. Daje ci ono pozory, że jesteś niezależny, że jesteś kimś wybitnym, gdyż masz wyobraźnię, która potrafi zmaterializować to piękne słowo. Dlatego zresztą je tak kochasz... Metalowe płaszczyzny! Czyż wyobrażenie ich nie kryje w sobie tego samego mechanizmu, co „fosforycznie lśniące słupy”? Ty, któryś oglądał mnóstwo komiksów z rysunkami pojazdów

kosmicznych, płaszczyzn pokrytych metalowymi wzgórkami, podobnymi do kretowisk, jesteś dumny, że potrafisz przenieść owe rekwizyty do wyobrażeń absolutnie niefunkcjonalnych. Cieszy cię to, że wyniki trudu całego pułku rysowników i podpisywaczy wykorzystałeś wyłącznie dla siebie. Drżysz... Przelykasz ślinę. Wyobrażasz sobie teraz drzewa z czerwonej, porowatej gąbki. I chcesz zapomnieć, że kilka dni temu byłeś na rysunkowym filmie i patrzyłeś na wesołe zwierzęta, biegające wśród elastycznych drzew o barwie koralu. A może o tym nie pamiętasz?

Dzwonek. Czekałem, aż ktoś otworzy. Niestety, gospodarze wyszli. Przez chwilę byłem nieruchomy, ba! – zeszywniały. Miałem nadzieję, że dzwonek się nie powtórzy. Znowu krótki, ostry dźwięk. Podkurczyłem nogi. Długi terkot. Nie potrafiłem już leżeć. Zeskoczyłem z łóżka. Nim skierowałem się do drzwi, popatrzyłem na ten odrażający, przeładowany starymi meblami pokój i zaświeciłem stojącą lampę.

Jakże jesteś zadowolony, że możesz nazwać pokój „odrażającym”? Ten przymiotnik automatycznie stwarza granicę pomiędzy tobą a otoczeniem. Jeszcze pamiętasz metalowe płaszczyzny z fosforycznymi słupami, a już musisz patrzeć na tę zbieraninę mebli, na zakurzoną podłogę i odrapane drzwi. Zadowolony z siebie idziesz otworzyć. Masz jeszcze dodatkowy powód: zmuszono cię tym dzwonkiem do opuszczenia łóżka przykrytego secesyjną kapą, nie uczyniłeś tego z własnej woli.

Otworzyłem drzwi. Spodziewałem się zobaczyć kogoś ze stałych gości gospodarzy. Idąc przez korytarz przygotowałem sobie odpowiedź na pytanie: „Czy państwo są w domu?” Zobaczyłem jednak Monikę. Odwróciłem się, zostawiając drzwi uchylone. W korytarzu unosił się zapach bigosu i zjełczałego tłuszczu. W pokoju otworzyłem okno. Spostrzegłem Monikę stojącą na progu z tak dobrze znanym mi uśmiechem; jeżeli nie odejdę od okna, Monika powie: „Dlaczego się ze mną nie przywitasz, nie jesteś w humorze?” – i wtedy dopiero ją pocałuję.

– Powinieneś zmienić mieszkanie. Kiedy wracam od ciebie, włosy mają zapach bigosu. Boże, jaki tu nieporządek!

– „Kapitanowie siwobrodzi” – zaśpiewałem.

– Tyle razy ci to mówiłam!

– „Zgubili się gdzieś w ciemnej mgłę” – kontynuowałem.

– Kocham cię – powiedziała i zamknęła drzwi. – Kocham cię – powtórzyła, pedantycznie wygładzając płaszcz, który powiesiła na gwoździu wbitym w ścianę.

Stałem przy otwartym oknie, wiatr dmuchał mi w plecy, zastanawiałem się, jakie są dalsze słowa piosenki i nie mogłem ich sobie przypomnieć.

– Zresztą wiesz o tym – dodała, siadając na krześle.

– Jakie są dalsze słowa „Kapitanów”?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na moje dłonie opierające się o blat stołu. Chciałem nimi poruszyć, ale po kilku sekundach zrezygnowałem.

Do czego ci potrzebne to podwójne udawanie? Wobec siebie i wobec niej? A może wstydzisz się tego, że wyobrażasz sobie, stojąc przy oknie, drogę z rosnącymi po bokach olchami, i to miejsce, gdzie odpoczywałeś prawie pół dnia. Był gorący letni dzień, leżałeś w cieniu pod olchą. Może w ten sposób chcesz sobie wynagrodzić przerwanie odpoczynku? Potem zdajesz sobie sprawę, że wasz dialog jest emocjonalny, zdania są obok i to stwarza sytuację dramatyczną. Wiesz, że gesty nic nie oznaczają, i to, że Monika, wygładzając pedantycznie płaszcz, mówiła o swojej miłości, nie ma żadnego znaczenia. Z drugiej strony musisz przyznać, że przyzwyczajono cię do pewnych konwencji. Hamlet czyszczący zęby i bełkoczący „być albo nie być” – raziłby cię. Ona właśnie zrobiła coś takiego. Odchodząc od okna nie jesteś już tego tak bardzo pewny. A może to jest programowe zniszczenie schematów, aby mocniej określić swoją miłość, a przez nią – osobowość? Pochylając się nad Moniką stwierdzasz, że świetnie dobrała kredkę do warg. Zestawienie koloru jej oczu i kredki

kojarzy ci się z jakimś obrazem, lecz nie możesz sobie przypomnieć, gdzie go widziałeś. Denerwuje cię to. Gwałtownie – ma to oznaczać złość – wyprostowujesz się. Monika podnosi w górę powieki, lecz ty, udając, że nie rozumiesz ruchu jej powiek, wpatrujesz się w ścianę. No, tak! Obraz wisi naprzeciw twoich oczu. Niebieskoczerwona abstrakcja wycięta z tygodnika.

– To ja cię kocham – powiedziałem.

– Tak się do ciebie spieszyłam...

Uśmiechnąłem się do niej. Uśmiechając się przypominałem sobie, że mam awitaminozę. Znowu będą mi krwawić dziąsła przy wieczornym myciu zębów.

– Dlaczego nagle przestałeś się uśmiechać?

Nie odpowiedziałem. Ująłem jej dłoń i podniosłem do ust. Był to gest wielokrotnie przeze mnie obserwowany w teatrze.

– Usiądźmy na łóżku – powiedziałem.

Przeszliśmy przez pokój, to znaczy zrobiliśmy trzy kroki i usiedliśmy na secesyjnej kapie z pokrętnymi motywami roślinnymi. Patrzyłem na twarz Moniki i miałem takie samo uczucie jak wtedy, gdy oglądałem przedmiot o dobrych proporcjach.

– Powinieneś zmienić mieszkanie.

– Tak.

– I kupić sobie nowe buty.

– Dobrze.

– Zacząć normalne życie.

Odrzuciłem głowę. Patrzyłem na płaszcz Moniki z dwoma fałdami od kołnierza do rękawów. Potem znowu spojrzałem na jej twarz.

– Przepraszam cię – powiedziała. – Wiesz, że nie chciałam...

– Tak, wiem.

Siedzisz obok kobiety, która od kilku miesięcy codziennie przychodzi do twego mieszkania, a ty zaledwie dwa razy byłeś jej kochankiem. Pierwszego dnia i wówczas, przed trzema tygodniami, gdy czytałeś dziewiętnastowieczną zoologię. Cieszysz się teraz, że wykształciłeś w niej wrażliwość na twoją ułomność. Jeżeli to można nazwać ułomnością... Mówiąc „normalne życie”, „zwykłe sprawy” – ta kobieta odczuwa zażenowanie, rozgląda się po zagraconym pokoju, jakby chciała wśród starych mebli znaleźć temat do nowej rozmowy, podczas której zapomniałbyś o jej gafie. Ty jednak tak łatwo nie zrezygnujesz. Będziesz robił miny i aluzje. Przyzwyczajony przez rodziców do zasypiania z zaciśniętymi dłońmi na znak buntu, nauczony przez lekturę szamotania się między gniewem a radością, siłą i wątpliwością – na wzór bohaterów romantycznych – zmęczony poprzednim bezwładem – nie zrezygnujesz. Odegrasz, co masz do odegrania – wiedząc jednocześnie, jak nieistotne są przyzwyczajenia wynikłe z lektury i wyobrażanie sobie własnego dzieciństwa, którego prawie nie pamiętasz. Wiedząc o, tym, z tym większą przyjemnością odegrasz, co masz do odegrania.

– Czy mógłbyś zamknąć okno?

Zamknąłem.

– Czy musiałeś to wszystko mówić? To krzywdzące dla mnie. Usiądź.

Usiadłem.

– Teraz już dobrze. Przytul mnie.

Przytuliłem.

Odbyło się tak, jak przewidziałeś. Dlaczego teraz usiłujesz wyobrazić sobie, że masz nudności? Oznacza to, że jesteś pełen niesmaku z powodu własnego postępowania. Nic ci to nie pomoże. Widzisz przed sobą w odległości kilku centymetrów szyję kobiecą, za minutę, najwyżej dwie, będziesz ją musiał pocałować oraz wykonać szereg ruchów: pogłaskać, odsunąć się, znowu pogłaskać, a potem na powrót przytulić.

Leżeliśmy obok siebie na szorstkiej kapie. Kilka razy wciągnąłem silnie powietrze. Nie wyczułem zapachu popiołu z papierosów. Starąłem się wyobrazić sobie, że leżę obok kobiety ubranej w krynolinę i olbrzymi kapelusz z piórami.

Przymknąłem oczy. Najpierw była czerwień, później została obrzeżona czernią, z czerwonych płam wyskoczyły macki, zaczęły się poruszać, więc jak wodorosty.

– Tak lubię przytulać się do ciebie.

Czekałem na jej dalsze słowa. Ruch czerwonych macek był płynny, powiedziałbym: taneczny.

– Wiesz o tym?

Skurczyły się nagle i wyskoczyły znowu jak małe harpuniki. Czarna obwódka zawirowała.

– Przyzwyczaiłam się właściwie do tego pokoju...

Macki owinęły się dookoła czerwonej plamy, obwódka znieruchomiła.

– Zgaś światło – powiedziałem.

Czerń-biel, czerń-biel. Dopiero wtedy otworzyłem oczy. Na początku sprzęty były ciemnymi bryłami, dopiero potem zacząłem rozróżniać szczegóły. Monika położyła mi rękę na ramieniu.

– Lepiej ci teraz?

– Tak. Lepiej mi teraz – odpowiedziałem.

Leżałem w ciemności z otwartymi oczami.

Jesteś zadowolony. Leżeć w ciemności z otwartymi oczami – to sugeruje bardzo wiele. Jeżeli komuś powiesz, że leżałeś w ciemności z otwartymi oczami, to twój rozmówca natychmiast domysli się, że przeżywałeś jakiś dramat. Wolisz przymknąć oczy? Bardzo dobrze. Czerń-biel, czerń-biel. Zaciśnij jeszcze silniej powieki. O, tak! Przynajmniej coś się dzieje. Ruch i kolor. Znowu otworzyłeś... Rób, jak chcesz.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI